

Daniel Olbrychski nazywał Paryż we: „Wspominkach o Włodzimierzu Wysockim”, „naprawdę wolnym miastem wolnych ludzi”. Jest ono wolnym, m.in. dlatego, że powszechnie przyjmuje się tak, iż swoje przekonania religijne, jako nienadające się do rzeczowej dyskusji (niemożność poparcia twierdzeń dowodami), należy zostawić w swoim domu, tak by wejść w przestrzeń prywatną bez wywoływania niepotrzebnych konfliktów i cieszyć się po prostu możliwościami jakie to miasto daje, bez narzucania innym swojego zdania. Wprawdzie George Orwell powiedział, że „wolność oznacza możliwość mówienie ludziom tego czego nie chcą słyszeć”, ale wielu ludzi myli to ze zmuszaniem innych do myślenia tak jak oni (co przecież i tak skazane jest na porażkę), tak samo jak wielu myli (często niestety świadomie) wymóg minimum liberalizmu w stosunkach międzyludzkich (zdroworozsądkowa, pacyfistyczna tolerancja podstawowa), z propagowaniem liberalnego stylu myślenia („tolerancja pozytywna”, rozwijanie tolerancji jako moralnej wartości nadrzędnej). Dziś paryska wolność wcale nie jest taka oczywista; paryscy liberałowie są obecnie zaniepokojeni atakami katolików-lefebrystów na teatry, manipulowaniem przy konstytucyjnej świeckości państwa i ekspansją agresywnego islamu.

„...Nawet w laickich społeczeństwach Europy są podskórne pokłady społeczne zdolne w sprzyjających warunkach reaktywować nowe średniowiecze. Eskalacja kryzysu ekonomicznego i niepewności społecznej może stać się doskonałą pożywką dla ekspansji fundamentalizmu religijnego niosącego nowe niepokoje społeczne ...”.

Tym, którzy myślą, że wojny religijne się skończyły warto przypomnieć nie tylko amerykańskie i brytyjskie szkolne spory ewolucjonistów z kreacjonistami, ale też np., że niemiecki (anglojęzyczny) film o Lutrze z 2003 roku nie został pokazany w katolickiej (a właściwie uporczywie nazywanej katolicką) Polsce. Kościoły nadal walczą ze sobą nawzajem, także na polu nauki (np. protestanci wyolbrzymiają zbrodnie katolickie na

nich, a katolicy – odwrotnie), ale także z ludźmi znajdującymi się poza ich ofertą religijną. Rozjuszony, spadkiem liczby wiernych, organizacje religijne (a z nimi świeccy publicyści religijni jak Tomasz Terlikowski czy Pat Robertson) nieustannie oskarżają ateistów i sceptyków o całe zło tego świata, czego dobrym przykładem są kwestie spadku urodzeń dzieci i wzrostu przestępczości, wykazując pogardę dla prawdy, która każdy może łatwo sprawdzić; w „katolickich” Polsce i Hiszpanii rodzi się mniej dzieci, niż wśród rdzennych Francuzów – obywateli „laickiej” Republiki Francuskiej. Przestępczość w religijnych (90% wierzących) USA jest znacznie wyższa (2 mln więźniów, połowa wszystkich więźniów na świecie), niż w bardziej zlaicyzowanych krajach Europy Zachodniej, zaś obecny chwilowy wzrost przestępczości np. w Szwecji, gdzie dotąd był praktycznie zerowy, nastąpił w związku z emigracją wierzących muzułmanów. Kościoły cenią wyżej propagandę niż prawdę.

Człowiek dzisiejszego Zachodu zazwyczaj chce też by państwo nie wtrącało się za bardzo do jego życia, tak by jego decyzje odnośnie własnego życia były szanowane. Nie lubi się, że wszyscy zaczną myśleć tak jak on, więc nie chce narzucać innym swojego zdania (pluralizm), a nawet jeśli – to nie za wszelką cenę. Wie, że istnieje więcej niż jeden przepis na dobre i godne życie. Jest też przyzwyczajony do otwartego wyrażania swoich opinii, przy idei, którą uważa za głupią czy szkodliwą, po prostu wyśmiewa, bez sięgania po nóż. Człowiek dzisiejszego Zachodu jest raczej sceptykiem niż entuzjastą i oczekuje, że rząd polityczny wokół niego będzie akceptował jego wątpliwości. Jeszcze 300, a nawet 200 lat temu to wszystko czego oczekuje dzisiejszy człowiek o liberalnej mentalności nie było wcale oczywiste, a wręcz przeciwnie. Takie oczekiwania wielu ludziom z przeszłości pachniałyby utopią, niemoralnością lub szaleństwem, choć w przeszłości było wielu innowierców, sceptyków i ateistów ukrywających swoje przekonania dla własnego bezpieczeństwa. W XVII i XVIII wieku rozproszone grupy intelektualistów dopiero z wielkim trudem przygotowywały grunt pod nowoczesne społeczeństwa, często musząc korzystać się

przed wszelkiej maści wrogami swobody intelektualnej.

Dzisiejsza moralność Zachodu jest przede wszystkim moralnością liberalną, czyli pochodzącą od głównego pnia myśli oświeceniowej (Locke, Voltaire, Hume, Kant), a po części także z jego demokratyzującego skrzydła (Spinoza, Paine), choć ta moralność jest stale atakowana przez konserwatywnych religiantów, anarchistów, postmodernistów, relatywistów i socjalistów. Oświecenie, choć często pisze się inaczej, nawiązuje do chrześcijaństwa, zwłaszcza w wersji protestanckiej i nonkonformistycznej.

Urok liberalizmu jako idei moralnej pięknie opisał Ortega y Gasset nazywając liberalizm odruchem wspaniałomyślności większości, która nadała prawa mniejszości i uwzględniła jej potrzeby. Rdzeniem ideologii liberalnej jest nacisk na to co indywidualne, na dobrowolność, na samodzielność i samorealizację jednostki, na ułatwienie jej działania w świecie, na jej życie wewnętrzne, sumienie i osobiste przekonania. Dlatego liberalizm zawsze zwrócony jest przeciwko totalitaryzmowi, naciskom społeczności na jednostkę, nadmiernej ingerencji w jej życie ze strony rządu, rodziny, sąsiadów, kapłanów, i przeciw siłowemu wyrównywaniu społeczeństwa, różnorodność jest bowiem córką wolności. Wartość liberalizmu polega na braku dogmatów (nie jest takowym np. wolny rynek, wbrew powszechnemu przekonaniu)

Swoboda intelektualna implikuje postęp naukowy, a ten z kolei rozpraszając tajemnice świata wokół nas, powoduje, że człowiek cierpi na coraz mniejszą ilość chorób i lęków i staje się odważniejszy, broniąc swojej prywatności i własnych poglądów, zgodnie z zasadą gradacji potrzeb. O takich ludziach mówimy dziś, że osiągnęli „pełnię człowieczeństwa”. Człowiek np. średniowieczny, mający w perspektywie 30-40 lat życia, a więc mający niewielkie szanse na osiągnięcie psychicznej dojrzałości i cieszenie się nią, żyjący dodatkowo w nieprzyjaznym środowisku pełnym nieuleczalnych chorób (np. grypy) nie ma siły na chronienie swojej indywidualności, ani na samodzielne, racjonalne zmaganie się z naturą, nic więc dziwnego, że idee liberalne narodziły się w Holandii i Anglii

– najbogatszych krajach XVII-wiecznego świata. To samo dotyczy odwagi przyznania się do swych wątpliwości wobec kwestii nadprzyrodzonych. W świecie nieprzyjaznym, pełnym zagrożeń lepiej starać się o przywiązanie do jakiegokolwiek Hobbesowskiego stada, niż wychylać z własnymi jednostkowymi przekonaniami, lepiej udawać, że akceptuje się w pełni credo grupy, niż starać się przekonywać do czegoś. Niepewność jest w sposób oczywisty wrogiem szczerości.

Dopóki mówimy o osobistych przekonaniach jednostki, nawet to co transcendentne odnosi się do pracy umysłu i nie budzi sprzeciwu, ale co się dzieje jeśli świat duchowy przybiera swoją namacalną postać religii zinstytucjonalizowanej, która z zasady musi zabiegać o klientów, zwanych wiernymi by przetrwać? Czy można pogodzić wiarę jednostkową z niezmiennym dogmatem wybitym w marmurze? Czy można pogodzić myślenie z utwierdzaniem się w wierze? Czy filozofia religii zinstytucjonalizowanej może być czymś więcej niż tylko propagandą? Główny zarzut do religii polega na tym, że dzieli ludzi w zależności od ich wiary lub niewiary w jakąś konkretną mitologię, podczas gdy świeckość ludzi łączy. Przykrą właściwością religii jest to, że często wiąże się ona z totalitaryzmem, a przynajmniej, że każdy totalitaryzm polityczny ma w sobie coś religijnego. Religia ma tendencję do wnikania we wszystkie dziedziny życia.

Świat antyczny tak opłakiwany przez Pope'a, Nietzschego i innych jest tą częścią tradycji Europy, co do wagi której, nikt nie ma wątpliwości. Zupełnie inaczej jest w kwestii średniowiecza inspirowanego chrześcijańskich konserwatystów i humanistycznego oświecenia, do którego odwołują się liberałowie, to co dla pierwszych jest tradycją, dla drugich będzie jedynie „wiekami ciemności” lub „ślepy murek” .

Świat antyczny to rzymskie masy, które wierzyły w rozmaite duchy: lemury (dusze dobrych osób: lary, i złych – larwy), i dziwacznych spersonifikowanych bogów. Ta wizja świata antycznego zapewne nie wzbudza specjalnego zachwytu ani chrześcijańskich konserwatystów, choć mowa tu o duszy, ani tym bardziej sekularystów i liberałów, choć ci pierwsi mogą

pocieszyć się zawsze, że Cesarstwo Rzymskie przyjęło w końcu chrześcijaństwo jako religię państwową, ci drudzy zaś zawsze mogą nawiązać do czasów sprzed tego wydarzenia, czasów niepokornej filozofii. Zdarzali się niepokorni Rzymianie tacy jak Marcus Tullius Ciceron, odrzucający de facto wiarę w bogów, a nawet oszuści, tacy jak Cezar, którzy wykorzystywał łatwowierność mas, by osiągnąć swe polityczne cele (Gaius Julius był przez jakiś czas pontifex Maximus, czyli rzymskim antycznym odpowiednikiem papieża), z drugiej jednak strony Rzymianie byli głęboko przesądni i gotowi nawet zabić w obronie tych przesądów, choć mnogość bóstw pozwalała wybrać jedno z nich na swojego opiekuna równoważącego wpływ bóstwa nieprzychylnego, a to wymagało już nieco intelektualnej energii i mogło sprzyjać filozofii.

Według Christophera Hitchensa świat antyczny umarł ustępując miejsce epoce religijnego fanatyzmu w momencie, gdy hellenistyczny judaizm filozofujący ustąpił dogmatycznemu. Wkrótce potem pojawiło się chrześcijaństwo, którego liderzy pozamykali szkoły filozoficzne, wychodząc z „logicznego założenia, że skoro oni odkryli już jedyną prawdę, dalsze dociekania w celu jej odkrycia są niepotrzebne, a do tego potencjalnie niebezpieczne dla duchowieństwa. Potem zaś pojawiła się na Bliskim Wschodzie jeszcze bardziej arogancka religia...

Porównując religię antycznego Rzymu z chrześcijańską odnoszę wrażenie, że ta pierwsza była bardziej kultem, a ta druga jest rodzajem paktu. O antycznych wierzeniach myślimy często z punktu widzenia chrześcijańskiej propagandy, ale czy antyczne niebo nie jest bardziej ludzkie? Grecy i Rzymianie stworzyli swoich bogów na własne podobieństwo, choć oczywiście są oni nieśmiertelni i piękni niczym superman (superman i inni superbohaterowie z komiksów to nic innego jak Jupiter i Mars w wersji pop), mają też swoje słabości (jak Jupiter do ziemianek). Ludzie antyku grecko-rzymskiego wierzyli, że świat ciągle przeżywa trzy epoki, a człowiek nie ma wpływu na bieg rzeczy (może co najwyżej zbezczęścić święte miejsce na ziemi i zostać za to ukarany na ziemi), Żydzi i chrześcijanie – mieli o

mniej pokory niż poganie, rozwijając koncepcję licznych zależności między światem pozaziemskim i ziemskim i linearną wersję historii, w której postępowanie każdego człowieka ma wpływ na działanie boga („nieomylnego”, ale też okrutnego i czasem złośliwego – jak np. wobec Abrahama i Hioba) wobec całej ludzkości. Słabością chrześcijaństwa jest właśnie ta historyczność i prowincjonalność.

Chrześcijaństwo dziś upada, nie tylko dlatego, że jego założenia są sprzeczne z nauką, ale także dlatego, że opowiada o Judei i Babilonie (od małego dziwiło mnie to w religii), choć dzisiejsi ludzie marzą zwykle o Paryżu i Nowym Jorku. Biblia nie pasuje do dzisiejszych problemów i nie daje na nie recepty. Religie antyczne nie odciągały uwagi ludzi w tym stopniu co chrześcijaństwo, od spraw doczesnych. Cierpiętnictwo, męczennictwo i kult słabości zniechęcały precz całe wieki do chrześcijaństwa, sympatyków antyku na czele z Nietschem. Zależności między obu światami i to, że nawet najgłupsze niewinne błazeństwo może w pewnych okolicznościach „obrażać” świętości, czyni też epokę chrystianizmu epoką bez uśmiechu, co pięknie przedstawił Umberto Eco w „Imieniu Róży”, choć przy okazji nieco przejaskrawił zbrodnie inkwizycji. Trudno też stwierdzić czy to bóg mówi przez człowieka, czy człowiek wykorzystuje boga do swych niecznych celów.

Dziś modne jest robienie z siebie ofiary, natomiast oficjalnie nikt nie gratuluje sobie propagandowej czy politycznej skuteczności, i tak obserwujemy spory katolików starających się przedstawić siebie jako ofiary nazistów z sekularystami krytykującymi postawę Piusa XII wobec III Rzeszy. Mniej zabawne jest to, że historycy stosują wobec zbrodni kościoła taryfę ulgową, choć na zdrowy rozum możemy domniemywać, że pogańskich ofiar wczesnego chrystianizmu (III-IV w.) musiało być o wiele więcej niż chrześcijan rzuconych wcześniej lwom na pożarcie (skoro chrystianizm tak szybko się rozprzestrzenił), w czasach gdy to ciągle Jowisz, a nie Jahwe stał na czele rzymskiego panteonu (chrześcijaństwo w zasadzie również jest religią politeistyczną, co pokazuje wątkowy status Maryi i świętych, dlatego można tu mówić o panteonie). Zapewne wynika

to z prostego faktu, że historycy też są w większości chrześcijanami, wyjaśnia to dlaczego na Zachodzie jest tak wiele „obiektywnych” i „naukowych” ksiąg ostro atakujących arystokrację i monarchię, socjalizm, liberalizm i islam, a stosunkowo mniej tych rozliczających kościoły chrześcijańskie (chyba, że przypomnimy o wzajemnej krytyce protestantów i katolików).

Historycy przychylni Kościołowi Katolickiemu i chrześcijaństwu lubią rozwodzić się o tym jak germański barbarzyńca przeląkł się biskupa i mnicha i pozwolił mu w spokoju przechować pergaminy antyczne zamiast użyć ich na podpałkę. Prawdą natomiast jest to, że bardzo niewiele tekstów antycznych przetrwało do naszych czasów, a biskupi i mnisi niszczyli z premedytacją wszystkie, które nie zgadzały się z chrześcijańską ideologią. To tysiącletnie polowanie na pogańską filozofię, przebiegało jednocześnie z próbami uczynienia z Platona i Arystotelesa myślicieli proto-chrześcijańskich. Od Platona wzięto na przykład uwielbienie hierarchii politycznej pełniące funkcje edukacyjne, by uczynić z niego oręż przeciw rozmaitym heretykom samodzielnie interpretującym Biblię, czy nie-duchownym przezywającym objawienia. Epikurejczycy i proto-racjoniści tacy jak np. Titus Lucretius Carus (99-55 p.n.e.) byli przerabiani przez ludzi Kościoła takich jak św. Hieronim na wariatów. Lucretius pisał w swym dziele: *De rerum natura*: „ileż mogą oszustw i ileż wymyślić baśni, ci, co za wszelką cenę nie pragną życia rozjaśnić”.

W epoce wczesnochrześcijańskiej Kościół musiał stoczyć wiele bojów ze zbłąkanymi owcami, którym logika kazała kwestionować dogmaty. Logika i paranaukowa dociekliwość w czasach gdy Kościół zamykał usta wszystkim po kolei apologetom dawnej filozofii (Hypatia z Aleksandrii, Pelagiusz), schroniła się w umysłach heretyków, takich jak np. adamici, którzy nie mogli pojąć po co dalej modlić się o przebaczenie grzechów, skoro Jezus już był na ziemi i zdjął to jarzmo ze swego ludu i twierdzili, że skoro nagość ustała wraz z grzechem i wstydem, to po owej wizycie powinna znów być dopuszczalna .

Kościół średniowieczny wprowadził wiele krępujących ludzką inicjatywę zakazów, taką jak np. zakaz tzw. lichwy, która trudnić się mogli jedynie Żydzi, od początku uważani za gorszych, a więc, bez szans na zbawienie. Różne reformy wprowadzane przez Tomasza z Akwinu dziś są przedstawiane jako rzekomy dowód praktycyzmu i otwartości Kościoła, podczas gdy z otwartością i praktycyzmem nie miało to nic wspólnego, lecz raczej z łataniem nadwątlonej tyranii nad umysłami. Podobnie charytatywne działanie Kościoła jest nierozdzielne z indoktrynacją.

By pokazać jak bardzo antyintelektualną i „ciemną” i straszną dla każdego uczciwego człowieka, epoką było średniowiecze, można wspomnieć, iż średniowieczni Neapolitańczycy czcili Wergiliusza jako maga i mędrca (wobec średniowiecznej ignorancji ten antyczny poeta piszący o rolnictwie zdawał się być geniuszem), a jego domniemane popioły służyły jako amulety. W tej epoce nawet np. papieża Sylwestra II, znającego się co nieco na mechanice i matematyce miano, z tego powodu za maga. Kościół absolutnie nie starał się zmienić tego stanu rzeczy, choć wystarczyłoby np. rozpowszechnić nieco prace Archimidesa, wręcz przeciwnie, naukowców i filozofów traktował jak heretyków, z prostego powodu, bo znajdowali się oni w obrębie Kościoła.

Nauka podobnie jak administracja państwowa, była w średniowieczu złączona z życiem Kościoła. To prawda, że najlepiej wykształconymi ludźmi w tej epoce byli dostojnicy kościelni, jednak według dzisiejszych, a nawet np. kartezjańskich kryteriów nauka średniowieczna w ogóle nie była nauką, lecz czystą spekulacją połączoną z komentarzami do dawnych, także tych antycznych, tekstów. Przez tysiąc lat, często zresztą w dobrej wierze, ludzie wykształceni wykazywali zupełny niemal brak zainteresowania dla ludzkich potrzeb i kwestii polepszenia warunków bytowych ludności. Tak samo w kwestiach moralnych nauczanie średniowiecznego Kościoła było – przynajmniej z dzisiejszego punktu widzenia – „dziurawe”, choć trudno mieć do Kościoła pretensję o stosowanie podwójnych standardów wobec chrześcijan i pogan, np. Jaćwięgow, wobec

których dopuszczano używanie kuszy, i trzeba zauważyć pewne próby złagodzenia obyczajów porywczej szlachty, jakie objawiły się np. podczas Soboru Laterańskiego II (1139), którego postanowienia czasem traktuje się też jako pierwszą w historii Europy międzynarodową konwencję o zasadach prowadzenia wojny. Chrześcijanie wyrzekli się stosowania kuszy w walkach pomiędzy sobą, oczywiście nie przestano jej używać (zakaz został potem potwierdzony przez papieża Innocentego III, również bez rezultatu). Na tym samym soborze potępiono też pojedynki rycerskie (kanon 14):

Całkowicie zabraniamy, aby odbywały się owe przeklęte jarmarki czy targi, na których mają zwyczaj spotykać się rycerze i walczyć ze sobą dla popisywania się swoją siłą oraz chwalenia lekkomyślną brawurą, co często prowadzi do ludzkiej śmierci i naraża na niebezpieczeństwo dusze”

Z liberalnego punktu widzenia, pojedynki stanowi przestępstwo i czyn niemoralny, tylko wówczas, jeśli jedna ze stron zostaje do niego zmuszona, zgodnie z rzymską formułą prawną: „Chcącemu nie dzieje się krzywda” (łac. Volenti non fit iniuria) – paremia prawnicza Gnaeusa Domitiusa Anniusa Ulpianusa (ur. II wiek n.e., zm. 223 n.e.), stanowiąca, że jeśli ktoś dobrowolnie naraża się na szkodę, wiedząc że ta szkoda może nastąpić, to nie będzie mógł wnieść skargi przeciwko innym stronom. To „dobrowolne założenie ryzyka” stawia zgodę jednostki jako główne kryterium moralne, zaś Kościół i religie w ogóle mają często tendencję do myślenia za głównego zainteresowanego i traktowania ludzi jako niedojrzałych umysłowo dzieci, które nie potrafią ocenić oczywistego ryzyka i samodzielnie podejmować decyzji w najprostszycy sprawach. Właśnie to oddalenie duchownych od rzeczywistości było głównym powodem humanistycznej krytyki Kościoła. Podobnie jest dziś w przypadku podejścia ludzi Kościoła i liberałów do homoseksualizmu; pierwsi mówią tylko o czynach i och zgodności z tekstem starożytnej żydowskiej księgi, drudzy natomiast o obopólnej zgodzie i odpowiedzialności za własne decyzje.

Kolejnymi poważnymi zarzutami wobec średniowiecznego, i późniejszego Kościoła, wysuwanymi od XVI wieku do dziś jest tzw. „milczenie w kwestii niewolnictwa”. Pewna poprawa prawnej sytuacji niewolników następowała w ostatnich wiekach Cesarstwa Rzymskiego (IV – V w. n.e.), być może także dzięki wpływom chrześcijaństwa, równocześnie zresztą z pogarszaniem się pozycji prawnej (i ekonomicznej) wolnej ludności wiejskiej, co doprowadziło niemal do zrównania obu grup. W państwie Karola Wielkiego nadal mamy niewolników, którzy według niektórych szacunków stanowili nawet 20% ludności jego państwa, żyjąc podobnie jak chłopi. Niewolników łapali pogańscy Wikingowie i Arabowie, ale prócz Arabów kupowali ich także np. śródziemnomorscy chrześcijańscy możni, kupujący chętnie niewolniczą siłę roboczą ze słowiańskiej części Europy. Słowo Sklave pochodzi od Slave, gdyż Żydzi w X wieku sprzedawali Słowian z Europy znad Elby i innych Słowian jako niewolników. Píše o tym Ibrahim ibn Jakub w swoich podróżach. Żydzi ci byli zwani Radaniten. Słowianie ci byli sprzedawani do krajów śródziemnomorskich i arabskich. W XV wieku zaczęto handlować niewolnikami murzyńskimi, i tu znów chrześcijanie konkurowali z Arabami, podobnie jak i jedni i drudzy organizowali krwawe święte wojny w obronie dostępu do skrawka ziemi na Bliskim Wschodzie. Kościół Katolicki nigdy nie potępił niewolnictwa, i zazwyczaj jego przedstawiciele zwykle bronią polityki swej organizacji twierdząc, że Kościół Katolicki nie odbiegał od ogólnie przyjętych standardów moralnych epoki. Tak bronił Kościoła biskup John Onaiyekan podczas brytyjskiej teledebaty pt: „Czy Kościół Katolicki jest siłą dobra we współczesnym świecie” (2009), w którym wraz z katolicką członkinią Cobnservative Party Ann Widdecombe mierzył się z antyklerałami-sceptykami: Christopherem Hitchenssem i Stephenem Fry. Ten ostatni uczestnik debaty na argument biskupa odpowiedział pytaniem, skoro KK nie reprezentuje moralności wyższej niż ta ogólnie przyjęta w danej epoce, to jaka jest w ogóle racja jego istnienia.

Liberałowie i oświeceniowcy rozumują moralność właśnie jako coś rozwijającego się wraz z doświadczeniem historycznym

ludzkości, i mierząc KK tą miarą dochodzą zwykle do wniosku, że KK ma stałą skłonność do przedkładania swoich interesów ponad dobro ludzkości. Jest tak istotnie i wynika to po części z uwikłania Kościoła – organizacji jak najbardziej ziemskiej – w politykę, każda organizacja ma swoje wilcze „prawo” kłamać i przekręcać fakty dla swego przetrwania, ale nie ma już wówczas moralnego prawa uważać się, mówiąc słowami bohaterki sztuki Oscara Wilde’a: Ideal Husband, „za coś lepszego niż zwykłe życie”, a rości sobie to prawa nieustannie i często apriorycznie odrzuca jakiegokolwiek argumenty sceptyków i ludzi zaangażowanych w próby reformy Kościoła, tak samo jak czynił to w przeszłości. Jeden z polskich komentatorów tak podsumował dyskusję z 2009 roku:

„...Ciekawa debata w telewizji publicznej w Wielkiej Brytanii, w której udział biorą Christopher Hitchens, Stephan Fry (po stronie „przeciw”) , John Onaiyekan oraz Ann Widdecombe (po stronie popierającej twierdzenie). Debata utrzymana jest w dobrym i kulturalnym tonie, chociaż widać po stronie przeciwnej pewien kunszt rozmawiania z publiką, podczas gdy Ann i John przyzwyczajeni są raczej do potulnej widowni...śmieszne jest, że Ann w ogóle nie odnosi się do oskarżeń Christophera o okrucieństwa, gwałty, nienawiść szerzoną przez Kościół a zwraca uwagę na to, ile Kościół przeznaczają na pomoc Afryce oraz ile znaczy dla lokalnych społeczności, co moim zdaniem wiąże się mocno z psychiką katolicką typu „nie ważne co zrobiłeś, wystarczy, że odpokutujesz np. sowitą darowizną na Kościół albo dla innych ludzi i w ten sposób wytrzesz swoje winy”. Już widziałem komentarz, że jak zwykle to świadome działanie ateistów, którzy umówili się zbornie i dlatego widownia tak przyklaskuje Chrisowi i Stephanowi ...”.

Niewolnictwo potępiali w czasach nowożytnych wierzący, ale raczej nonkonformiści i „heretycy”, deiści i ateści, żyjący na uboczu polityki religijnej, niż kościoły głównych nurtów (katolicki i protestanckie) przyczyniając się do debaty w tej

sprawie (koniec XVIII wieku w Wielkiej Brytanii) jego ostatecznego zniesienia w Zachodnim świecie w XIX wieku. Czasami w życiu społeczności ludzkich miewamy do czynienia ze sprzedawaniem się w niewolę w jakimś sensie, lecz tu znów najlepszym rozwiązaniem jest liberalna moralność: volenti non fit iniuria ponieważ ciężko zdefiniować przymusy życiowe i sytuacje życiowe, które mogą człowieka zmusić do poddania się czyjejs opiece i decyzji. Wyzysk na jaki wyzyskiwany wyraża zgodę nie jest w sensie liberalnym wyzyskiem. Socjaliści i Kościół nie patrzą jednak na decyzję jednostki lecz na dogmaty swych idei, pod tym względem socjalizm jest nie tylko konkurentem, ale i kontynuatorem chrześcijańskiej moralności „absolutnej”. Duchowni i socjaliści „wiedzą lepiej” czego potrzeba jednostce, niż ona sama, co powoduje, że to ich postawa jest pełna pychy, a nie postawa liberałów. W XVIII wieku sprawa lichwy została podsumowana przez wybitnego jurystę William Blackstone'a, w jego: Commentaries on the Laws of England, że ci co myślą, że pożyczanie na wysoki procent jest legalne mówią o odsetkach, a ci co nielegalne – o lichwie (When money is lent on a contract to receive not only the principal sum again, but also an increase by way of compensation for the use, the increase is called interest by those who think it lawful, and usury by those who do not). Ostatecznie rządy, jak wiadomo ustaliły odpowiednie pułapy legalności “lichwy”. Islam miał i ma do dziś ma jeszcze większy problem z dopuszczeniem lichwy od religii europejskich.

Kościół Katolicki, a w mniejszym stopniu także kościoły protestanckie, próbuje bronić się od zarzutów okrucieństwa w dawnych wiekach podkreślając związki jakie łączyły go z państwem, to prawd, że państwa wykorzystywały instytucje kościelne takie jak inkwizycja do własnych celów, jednak to Kościół wynalazł tą instytucje i to on zachęcał władców świeckich do krucjat, a nie odwrotnie.

Reformacja miała na celu odnowienie i wzmocnienie władzy duchownej, lecz ostatecznie doprowadziła do jej zbawienego, z punktu widzenia nauki i wolności jednostki, osłabienia.

Protestanci, którzy mieli prawo czytania Biblii w językach narodowych i interpretowania jej treści bez pośrednictwa pastora. Zdarzali się oczywiście leniwi protestanci, jak ten opisany przez Howarda Fasta, którzy woleli poczekać, aż pastor im wszystko wytłumaczy, jednak generalnie wolność samodzielnej krytyki Biblii zmieniła styl czytania w Europie z intensywnego (jedną-dwie książki wiele razy) na „ekstensywny (wiele ksiąg po jednym razie), co unaoczniało czytelnikom, że prawda i rzeczywistość są zbyt złożone by dogmaty religii zinstytucjonalizowanej mogły chociaż odnieść się do nich w całości, nie mówiąc o przekonującym wyjaśnieniu czegokolwiek. Kościół Katolicki oczywiście, tak jak protestanckie (z tym, że posiadał o wiele większe możliwości prześladowania opornych) odniósł się wrogo do prób restauracji filozofii krytycznej i wszelkimi sposobami ograniczał i zwalczał naukę (Galileo), zmuszając geniuszy takich jak Montesquieu czy Buffon do kajania się, paląc na stosach astronomów i odważniejszych sceptyków (Bruno, Vanini, Łyszczyński). Istnienie lub nieistnienie Boga stało się siłą rzeczy hipotezą naukową taką jak wszystkie inne, co religianci próbowali nie dopuszczać do wiadomości. Kościół przed rewolucją naukową mógł udawać (a nawet samego siebie przekonywać), że posiada klucz do zrozumienia wszystkiego, kiedy ludzie byli niewykształceni, tacy jak Michałangelo mieli co najwyżej bibliotekę ze stu tomów, a intelektualistów zajmowały dysputy na tematy tak jałowe jak to, czy matka Jezusa była błogosławiona dopiero w czasie ciąży czy już przedtem. Wykorzystując swą przewagę intelektualną Kościół uzależnił państwa od siebie (w średniowieczu nawet odbierał hołdy lenne od niektórych władców), a masy ludowe wykorzystywał ekonomicznie, przy czym duchowni stanowili ziemian nie znających się na ekonomii i mało pożytecznych ekonomicznie (w nowożytnym Królestwie Neapolu duchowni posiadali znaczną większość ziem). Efektem walk papieży i antypapieży, była schizma i oddzielenie tego co święte od tego co kościelne. Efektem herezji były wojny religijne, kontrreformacja (czyli monopolizacja nauki przez duchownych w krajach katolickich, połączone z aktywnym

tropieniem „herezji”) i powstanie radykalnych sekt niechętnych zarówno katolicyzmowi jak i protestantyzmowi głównych nurtów (luteranizm, kalwinizm). Na przykład niektóre społeczności anabaptystów wyznawały wręcz idee epikurejskie i nie akceptowały chrześcijańskiej mitologii cierpienia i pokuty, broniąc też wolności decyzji, jako przejawu dojrzałości jednostki (tylko dorośli i świadomy wierny mógł przyjąć chrzest), jednocześnie jednoznacznie broniąc wolności tolerancji religijnej w czasach, gdy nawet tacy myśliciele jak Locke odmawiali jej pewnym grupom wierzących lub niewierzących, kierując się wymogami polityki lub uprzedzeniami. W tych samych czasach Spinoza wyrażał wątpliwość czy w ogóle można zmusić kogokolwiek do akceptacji jakichkolwiek przekonań, jeśli on sam nie czuje ku nim skłonności i podważał sens takich prób. Wojny religijne XVI (Turcy i niemieccy protestanci przeciw katolickiemu cesarzowi) i XVII wieku kazały ludziom myślącym popierać z jednej strony silną władzę państwową zdolną oprzeć się fanatycznym zawieruchom (Bodin, Le Bret) i nadużyciom papieżstwa (czasem niestety sami monarchowie sami byli gorliwymi fanatykami religijnymi, nie zauważając w dostatecznym stopniu konsekwencji polityki skłócania mieszkańców państwa), a z drugiej strony popierać praktycyzm i areligijność w myśleniu, stąd coraz większa popularność akademii, towarzystw naukowych i łóż. Jednocześnie w XVII i XVIII wieku wzrastał komfort życia i ascetyzm religijny coraz mniej pasował do wyglądu codzienności, w przeciwieństwie do tak krytykowanego libertynizmu, który przecież w swej formie umiarkowanej jest zaczątkiem dzisiejszych swobód obywatelskich na równi z liberalną myślą moralną.

Wolność religijna w związku z nastaniem wojen religijnych w Europie stała się stałym tematem dyskursu politycznego. Za przykład obrońcy tolerancji wywodzącego się z cywilizacji chrześcijańskiej i działającego jeszcze przed reformacją uchodził Paweł Włodkowic, który na soborze w Konstancji (1414-1418) bronił pewnych praw narodów pogańskich, co było związane z sojuszem i unią litewską. Jednak tolerancja jako

doktryna rodziła się dopiero w XVI wieku, wówczas to anabaptyści i antytrynitarze, prześladowani przez główny nurt reformacji, czyli przez luteran, rozwijali pierwsze koncepcje zbliżone do nowoczesnego pojmowania tolerancji. Punktem wyjścia było przekonanie powszechne w tych środowiskach o wyższości moralnego zachowania nad dogmatami . Socynianin Jonas Schlichting (zm. 1661) ujmował problem tolerancji następująco:

„...Czym jest wolność sumienia pod bożą opieką, jeśli nie prawem myślenia tego czego się zechce, by otwarcie wysławiać to w co się wierzy i czynienia wszystkiego, co nie szkodzi innym? ..”.

Przedstawiciele wspomnianych słabszych sekt protestanckich uważali, że ludzie różnych wyznań i przekonań są w stanie żyć zgodnie obok siebie oskarżając katolików, luteranów i kalwinów o „nadużycie, hipokryzję i bluźnierstwa” . Kalwini tymczasem, pamiętając rady swego mistrza, uważali, że; „ten, kto uważa, że to złe karać bluźnierców i heretyków, jest współnikiem ich zbrodni i równie winnym ich popełnienia jak oni” .



Il. 1. Daniel Chodowiecki: „Minerwa jako symbol tolerancji wobec wszystkich religii” (1791), źródło: http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/b/bd/Minerva_als_Symbol_der_Toleranz.jpg (dostęp: 7.12.2010 r.).

W XVII wieku, jak zobaczymy, tolerancja religijna zdobywała sobie coraz więcej zwolenników, choć to dopiero John Locke zaproponuje w pełni wykonalną koncepcję stworzenia

społeczeństwa tolerancyjnego, poprzez wydzielenie sfery spraw „moralnie obojętnych”, w które państwo może, a czasem nawet powinno się wtrącać i sfery związanej z wierzeniami i przekonaniem jednostek, której państwo nie powinno naruszać. Wielu oświeceniowców poszło drogą wytyczoną przez angielskiego filozofa. Do najbardziej wiernych jego założeniom należeli Voltaire i Lessing. Wielkim zadaniem ludzi oświecenia było pogodzenie bezpieczeństwa jednostki z zachowaniem autorytetu państwa. W tej właśnie epoce tolerancja stanie się po raz pierwszy na taką skalę nie złem koniecznym, lecz wartością pozytywną samą w sobie, jak możemy zobaczyć na rycinie Daniela Chodowieckiego z 1791 roku, gdzie tolerancja została wyobrażona w postaci rzymskiej bogini mądrości, Minerwy.

W Anglii, gdzie anglikanie zepchnęli katolików (priest holes w posiadłościach krypto katolików do dziś przypominają te czasy) i purytan, a także bezwyznaniowców (przypomnijmy, w XVII wieku, nawet Locke traktował katolików jako potencjalnych zdrajców, a ateistów jak nihilistów), ludzie myślący mieli w końcu dość bycia klasyfikowanymi według wersji obrzędowych i stworzyli ponadwyznaniowe organizacje. Im bardziej państwo jest niepewne swej egzystencji, tym bardziej nietolerancyjne, zaś monarchia miewała przed epoką oświecenia tendencje do tworzenia z wyznania ideologii państwowej i probierza patriotyzmu, jednak niektórzy widzieli, że patriota może być i kwakier i protestant i katolik i ateista, deista, sceptyk czy purytanin.

Łoże masońskie stanowiły odpowiednik Royal Society, przeznaczone jednak dla laików. Zarówno Royal Society jak łoże miały na celu umożliwić dyskusję na tematy społeczne bez wywoływania upiorów sporów religijnych, w tym celu na spotkaniach osobiste przekonania religijne trzymane na uboczu dyskusji, zgodnie z zaleceniem m.in. Locke'a, który postulował podział przestrzeni publicznej na prywatną i publiczną. Stąd łoże pełniące często rolę towarzystw naukowych dla laików, odegrały niebagatelną rolę w walce o swobody jednostki, nadając ruchowi sceptyków i utylitarystów rozmachu i siły. W 1717 roku masoneria angielska zjednoczyła się, a w 1721 roku

otworzyła swą pierwszą filię poza Wielką Brytanią, w Dunkierce. Szybko powstawały następne. W 1742 roku we Francji było już 20 łóż. Szybko okazało się, że ideologia łóż angielskich; empiryzm Locke'a i deizm (zakłada on, że bóg stworzył świat, ale potem nie ingerował już w bieg rzeczy na nim) Johna Tolanda (1670-1722), nie zaszczepią się we Francji, gdzie królował aprioryczny racjonalizm, ale i jedno i drugie stano wyłom w litym dotychczas gmachu propagandy kościelnej. Oczywiście loże pełniły też do pewnego stopnia rolę demokratyzującą. Początkowo skład społeczny łóż po obu stronach Kanału był odmienny; w Anglii mieszany, we Francji – arystokratyczny, choć z czasem francuskie loże również otworzyły się na mieszczan umożliwiając im swego rodzaju awans społeczny. Były we Francji loże wojskowe, w których dowódca wcale nie musiał być mistrzem, jednak ten element masońskiego przesłania nie powinien nam przesłaniać znacznie ważniejszego oddziaływania masonerii jako propagatorki sceptycyzmu, życia intelektualnego i sekularyzmu.

Ponieważ masoneria była ruchem elitarnym, nie brak było w XVIII wieku łóż o zdecydowanie konserwatywnym, a nawet dewocyjnym zacięciu. Potępienie masonerii przez papieża Klemensa XII, doprowadziło do radykalizacji łóż, dlatego, że szukający dotąd okazji do zmanifestowania swego wyzwolenia z oków religii, wiedzieli pod jaki udać się adres. Joseph de Maistre, który przed rewolucją (jeszcze jako liberał i wolterianin) usiłował pogodzić Kościół z masonerią, po rewolucji (już jako ultrakatolicki konserwatysta) negował twierdzenie, iż masoneria wywołała rewolucję, która obaliła monarchię króla „arcychrześcijańskiego”.

Prawica i lewica w dzisiejszym sensie mają sens dopiero po (względny) wypchnięciu religii ze sfery polityki, i w tym sensie trzeba pamiętać, że obie są dziećmi oświecenia (tak samo jak nowoczesna demokracja i monarchia absolutna oświecona), różnią się jedynie stopniem do jakiego religia powinna zostać wyrzucona z polityki.

W XVIII wieku powstała opinia publiczna niezależna od rządów i duchowieństwa. Voltaire po równo zarzucał protestantom i

katolikom nietolerancję, stawiając za wzór postawę konfucjańską i filozoficzną, podczas gdy Thomas Paine pisał w *The Age of Reason*:

„...Niewierność nie dotyczy problemu wierzących i niewierzących; dotyczy udawania, że wierzy się w coś, w co się nie wierzy. Niemożliwa jest ocena moralnych następstw, jeśli mogę użyć tego określenia, które takie umyślowe zakłamanie spowodowało w społeczeństwie ...”

Ta intelektualna odwaga oświeceniowców i zdecydowane odrzucenie przesądów oraz umiłowanie prawdy, każą do dziś takim autorom jak np. Neil Postman postulować powrót do XVIII wieku jako odtrutkę na różne postmodernistyczne „modne bzdury” (jak to nazywa A. Sokal w swej książce), według których liberalizm jest właściwy jedynie dla kultury Zachodu, multikulturalizm, postawą właściwą nawet jeśli oznacza wprowadzanie prawa rekomendujące kamienowanie i obcinanie rąk, a prawda obiektywna w ogóle nie istnieje. Jednocześnie w tych samych czasach ekumenizm jednoczy religie w walce przeciw sekularystom, udając, że chodzi o coś innego.

Często przyjmujemy ten oświeceniowo-recjonalistyczno-liberalny spadek (wolności obywatelskie, poszanowanie sfery prywatnej, własności) za oczywistość i nie zastanawiamy się jak wyglądałby nasz świat, gdyby nie odwaga sceptyków i naukowców. Nasz świat i znane nam liberalizujące zmiany wykluwały się zwykle poza teokratycznym systemem edukacji, w prywatnych akademiach i salonach, w czasach, gdy do porządku dziennego należały nadużycia „władzy politycznej religii”, jak to nazwał Pierre Manent, działania papieża prowadzącego politykę podporządkowywania sobie państw, świata sporów religijnych. Wiek XVIII był ciągle jeszcze stuleciem ignorancji tłumów, na których uczuciach grali duchowni w Lizbonie 1755 roku (katastrofa przyczyniła się do zmiany duchowej Europy XVIII wieku, w tym stopniu co holocaust dwa wieki potem) i w osiemnastowiecznym Neapolu, świata niezbyt racjonalnego, niepewnego, niehigienicznego, kiepsko zorganizowanego i

pełnego mało dziś zrozumiałych zagrożeń, ale też okres w którym państwo powoli przełamuje edukacyjny monopol religiantów, nawet w krajach katolickich we własnym dobrze pojmowanym interesie krzewienia w szkole patriotyzmu.

W wiekach XIX i XX sceptycy mogli sobie pozwolić na odważniejsze spory z religią zinstytucjonalizowaną. Prace naukowców XIX-wiecznych takich jak Amerykanin brytyjskiego pochodzenia John William Draper (1811 – 1882) przyczyniły się do powstania terminu: „wojna nauki z religią”. Draper uważał, że wiek nauki czyli rozumu musi nastąpić po wiekach naiwności, dociekań i wiary. Żaden jednak stan według Drapera nie trwa wiecznie, gdyż nic nie może wymknąć się prawu wzrostu i upadku, stąd po wieku rozumu nadchodzi wiek schyłku (Decrepitude), w którym obumiera nauka i filozofia, ustępując na powrót miejsca coraz mniej wyrafinowanym religiom a z czasem zabobonowi. Teorie Drapera lub podobne rozwijali potem tacy autorzy jak Andrew Dickson White (1832 – 1918), Robert Green Ingersoll (1833-1899) Henry Louis Mencken (1880-1956), a potem Bertrand Russell i Richard Dawkins widzący w nauce siłę światła walczącą z siłami ciemności – religią. Naukowcy i historycy o religijnych przekonaniach często bagatelizują opozycyjność nauki i religii, nie rozumiejąc, że może być tylko jedno dominujący sposób widzenia świata w danej cywilizacji i że podejście empiryczne, czyli naukowe, w przeciwieństwie do religijnego uzasadniło swoją wyższość licznymi odkryciami, podczas gdy światopogląd religijny, mówiąc językiem Christophera Hitchensa, dawno już wyczerpał swoją energię kreatywną i pasuje jedynie do cywilizacji, która nie zna natury wokół siebie i musi wymyślać bogów by zmniejszyć poczucie osamotnienia i bezradności. Cóż z tego, że w XVII wieku oratorianie szybko nakupowali do swych szkół mikroskopów i teleskopów, skoro jeszcze w XVIII wieku biolog Buffon musiał kajać się przed zdominowaną przez ortodoksyjnych teologów Sorboną (która często żartowała sama ze swej teologii) za swe „heretyckie” obliczenia wieku ziemi. Cóż z tego, że wielu pastorów i księży próbuje pogodzić religię z nauką, zwykle fałszując tą drugą tak by wspierała z góry

przyjętą tezę o przydatności tej pierwszej, skoro to nauka a nie religia powoduje, że dziś lękamy się w zasadzie dwóch chorób występujących powszechnie, a w 1659 roku Henry Purcell zmarł na zwykłe przeziębienie. Pamiętam nawet argument, że to kler „zabił Hitchensa” przeszkadzając nauce przez stulecia, która bez tych kłód pod nogi rzuconych w przeszłości dziś mogłaby może wyleczyć raka na którego zmarł słynny dziennikarz.

Mało rzeczy oburza równie mocno jak to kiedy ktoś przeszkadza w osiągnięciu zamierzonych przez kogoś celów, a potem atakuje ta osobę za niepowodzenie. Do pasji doprowadzają mnie stwierdzenia typu: „nauka nie odpowiada na wszystkie pytania”, (więc religia jest nadal potrzebna), zupełnie jakby: 1) religia odpowiadała na te pytania, 2) potrzebowali byśmy odpowiedzi na wszystkie pytania, podczas gdy np. ustalenie ilości ziarenek piasku w Newadzie do szczęścia chyba nikomu niepotrzebne.

Liberałowie i sekularyści obawiający się Draper’owskiej wizji upadku cywilizacji, wcale nie takiej niemożliwej w obliczu inwazji słabo reformowalnego islamu, bronią zdobyczy rewolucji naukowej XVII i XVIII wieku przed zwolennikami reaktywacji średniowiecza (z czym wielu konserwatystów katolickich np. tych spod znaku portalu konserwatyzm.pl wcale się nie kryje). Religianci często nie mogą pojąć, że uczynienie religii nietykalną i nie podlegającą krytyce doprowadzi do schizofrenii intelektualnej, a próby wymuszenia zakazów będą musiały przypominać holokaust. Tęsknota religijnych konserwatystów do średniowiecza jest tęsknotą do epoki, w której religia zinstytucjonalizowana nie musiała odpowiadać na zarzuty krytyków, za to mogła względnie łatwo zamknąć im usta. Dziś religianci domagają się traktowania myśli chrześcijańskiej na równi z filozofią humanistyczną, choć z filozoficznego punktu widzenia myśl ojców Kościoła zwykle nie spełnia kryteriów myśli filozoficznej, ponieważ posiada z góry przyjęte scholastyczne tezy, do których uzasadnienia dąży, bliżej jej więc do myśli politycznej i propagandy niż filozofii życia i natury. Inną kwestią pozostaje fakt, jak

dalece nawiązywanie do sztywnych dogmatów i powoływanie się na „niezmienne” lub „nieomyślne” autorytety (papież jest formalnie „nieomyślny” dopiero od XIX wieku, choć rzecz oczywista – co papież to inny światopogląd) jest myśleniem. Myśl religijna nie zajmuje się odkrywaniem prawideł natury, ani analizowaniem doświadczalnym życia na ziemi, lecz jedynie wzmacnianiem intelektualnego stanowiska religii, jest więc myślą polityczną/ propagandą, a nie nauką (filozof-naukowiec obserwuje rzeczywistość nie wiedząc do jakich wniosków ta obserwacja go doprowadzi). Kler zbyt rzadko akcentuje różnicę między wiedzą i wiarą, dlatego niektórzy duchowni i wierni twierdzą, że wiedza coś, czego nikt wiedzieć nie może. Jeśli zatracimy rozumienie różnicy między wiedzą a wiarą, to uczymy niemyślenia. Instytucje religijne niestety często uczą niemyślenia dzieci i młodzież poprzez promowanie wychowania w nadmiernym szacunku dla tradycji i opinii innych, a niedostatecznym dla poszukiwania prawdy i uczciwości intelektualnej (kastrowanie rozumu) , a na dorosłych przez cenzurę i straszenie piekłem, bądź domniemanym upadkiem moralnym (sięgając często po hasła narodowo-ksenofobiczne, mimo iż chrześcijaństwo jest ponoć uniwersalne), dlatego religia zorganizowana jest skazana na konfrontację z nauką, kwestie polityczne, finansowe i moralne z kolei skazują ją na częste konflikty z władzą świecką.

Kościół zbyt łatwo mówi o sobie, że reprezentują wszystkich wiernych, tymczasem mamy tu do czynienia z taką samą sytuacją jak w przypadku państwa. Według konserwatystów takich jak Roger Scruton państwo to ogół obywateli/poddanych, podczas gdy, jedynie jego aktywną część – administrację można uznać za państwo. Liberałowie oddzielali starannie państwo od ludu/narodu, a renesansowi humaniści wiarę od księży. W Polsce KK licząc 23 tys. zakonnic, to ok. 52 tys. osób (i ok. 2000 misjonarzy za granicą) . Ewentualnie do tego aparatu administracyjnego państwa i kościoła można dodać odpowiednio tych co wybrali obecny rząd (te kilkanaście procent zwolenników rządów PO), i tych co chodzą regularnie do Kościoła (zazwyczaj ich udział szacuje się na ok. 35 %),

Obecnie organizacje religijne w konfliktach ze sceptykami grają zwykle kartą „obrazy uczuć religijnych” . Nie dotyczy to jedynie islamu, którego wyznawcy, sami bywający ponad wszelką miarę nietolerancyjni domagali się niedawno w ONZ kar za ośmieszanie islamu.

W Polsce katolicy uważają za obraźliwe ustawodawstwo dopuszczające aborcję, mimo, że przecież nie jest ona obowiązkowa. Sprzeciwiania się takiemu prawodawstwu dlatego, że kłóci się ono z moralnością chrześcijańską, jest udawaniem, że tylko chrześcijanie zamieszkują Rzeczpospolitą. To co dla chrześcijan jest kwestią co najwyżej dyskomfortu psychicznego, dla ludzi dokonujących zabiegu, jest kwestią stygmatyzacji społecznej i istotnego ograniczenia wolności lub braku tego ograniczenia, kobieta, która zechce dokonać aborcji i tak tego dokona, lecz w tzw. podziemiu aborcyjnym, lub za granicą, podtrzymując hipokryzję Polski jako państwa chrześcijańskiego. To tak jakby katolik musiał pojechać za granicę, bo w kraju msze można odprawiać tylko po kryjomu, o takim poziomie utrudnienia tu mówimy. Niestety żarliwi katolicy żądają od niekatolików, stania się katolikami, nie pamiętając poprzedniego ustroju, który traktował z kolei ich jak obywateli drugiej kategorii. Skoro nie da się zapobiec aborcjom, to na nic całe mówienie o niej jako o morderstwie. Płód może wprawdzie dziedziczyć, ale nie jest jeszcze człowiekiem, do XX wieku nawet KK tak uważał. Kilka komórek nie czuje bólu, ani nie ma nawet zątku świadomości, reprezentowanie interesu potencjalnego życia przeciw wymaganiom i problemom realnego świata przypomina dbanie o interesy firmy, która istnieje dopiero na papierze, i przypomina też niestety religijny szowinizm skierowany przeciw kobietom, wszak KK zwykle nie potępia mężczyzn za nocne polucje czy inne marnowanie nasienia.

Rozmowy o religii i wierze są zwykle bardzo nieprecyzyjne, ponieważ takie jest słownictwo jakiego wtedy używamy, dlatego przydało by się rozpowszechnić doskonale oddające istniejący stan rzeczy określenia takie jak „muzułmanin kulturowy”, czy „chrześcijanin kulturowy”, dla określenia kogoś dla kogo

religia nie jest jedyną, ani nawet najważniejszą treścią życia, ale uczestniczy w niej ze względu na wymogi społeczne, rodzinne (to dlatego kler zawsze popiera prymat rodziny nad jednostką) itd. Inne przydatne określenie pochodzi od Daniela Dennetta: człowiek, który „wierzy w wiarę”, na określenie sceptyka, który chciałby uwierzyć, i chciałby by wszyscy wierzyli, dlatego czasem zacieklej broni religii niż niejeden wierzący i uważa ją za główną siłę moralną, mimo oczywistych niedociągnięć w teorii (zbrodnie w Biblii i Koranie) i praktyce (nietolerancja religijna i wojny religijne), gdyż ich (własny) ateizm jawi im się jako groźny nihilizm.

Kościół Katolicki, feudalna i najbardziej chyba antyintelektualna struktura religijna (poza radykalnym islamem i ortodoksyjnym judaizmem), jest dziś nieustannie atakowany za przewinienia stare (krucjaty, inkwizycja, wojny religijne) i nowe (molestowanie dzieci i młodzieży przez księży, sprzeciw wobec używania prezerwatyw), nie jest już wiodącą siłą moralną, przeciwnie, przez wielu postrzegany jest jako niemoralny siłą bezwładną i złej woli. W Polsce Andrzej Koraszewski pyta: „Dlaczego tak często wracamy do męczeństwa tego jednego, przemienionego w abstrakcję cierpienia na krzyżu, a tak rzadko do cierpienia ludzi zabijanych za szukanie prawdy?”, w Wielkiej Brytanii niedawno zmarły Christopher Hitchens słusznie kwestionował ideę, według której jedne ziemie są świętsze od innych, co jest jedyną przyczyną ciągłych walk w Palestynie. Znamienne, że duchowni wolą zamknąć usta sceptykom, za pomocą poprawności politycznej, niż zastanowić się nad sobą, i z uporem maniaka drążyć swoje, nawet wbrew najbardziej oczywistym dowodom ich błędów. Kościół Katolicki i inne organizacje religijne pełnią wiele pożytecznych funkcji jak opieka nad chorymi i ubogimi, ale nie czyni tego lepiej niż władze i organizacje świeckie, a czasem wręcz cała pomoc jest wypaczona przez propagandę i fanatyzm (casus Matki Teresy). W Polsce zwykle wiedza o tych wypaczeniach jest stosunkowo niewielka ponieważ jej mieszkańcy znają historię kościoła głównie z tego co ona sama o sobie pisze (Wydawnictwo Księgarnia św. Wojciecha, Fronda, KUL

itd.), choć pewną równowagę przynoszą Internet i postkomunistyczne podręczniki. Zatręśnienie jest jednak w Polsce nowej raczej mało wartościowej (bo opartej na nie intelektualnym przeżywaniu różnych wrażeń) literatury religijnej, głównie o JP II. KK nie czyni nic tak wyjątkowego, by to uzasadniało jego poczucie własnej wyższości nad tym co świeckie.

Religia zinstytucjonalizowana oddala się zwykle od prawdziwych problemów, uczuć i potrzeb człowieka (podobnie jak rządy wielkich państw), i zamiast stanowić pociechę dla indywidualnego wiernego, stanowi siłę nacisku za nic mającego sobie szczęście ludzkie. Oczywiście wiara prywatna, będąca rezultatem indywidualnych przemyśleń, nienarzucana innym, ma dokładnie przeciwny skutek – doskonalenie jednostki, stąd np. protestantyzm wydaje mi się o wiele mniej szkodliwy społecznie (może z wyjątkiem amerykańskich newborn christians) od katolicyzmu. Należę do tych sceptyków, którzy nie wierzą, by największe kościoły takie jak katolicki mogły złagodzić swój kurs ideowy dobrowolnie, prędzej stanie się to dlatego, że ludzkość, także wierzący, zupełnie straci cierpliwość do machlojek i nacisków uprawianych przez duchownych rzekomo w imieniu bogów, którzy jeśli istnieją, i są tak wspaniali jak piszą w starożytnych księgach, nie potrzebują tak nędznych sług i pochlebców. W Polsce antyklerykalizm jest równie niepopularny jak klerykalizm w Hiszpanii ze względu na niedawne doświadczenia historyczne, dlatego w niniejszej pracy postanowiłem ograniczyć własne wywody do wstępu, dając przede wszystkim mówić samym faktom. Osobiście byłem wychowany w dość liberalnym katolicyzmie, i długo zdawało mi się, że jestem głęboko wierzący. Uważałem by nie psuć sobie konta w niebie, do dziś zresztą mam taki odruch, i nie miałem z tego powodu złych snów, choć doskonale rozumiem, jak ludzie wychowani w surowszej wersji chrystianizmu mogą przeżywać istne tortury potępiając się za życia choćby za rozmaite biologiczne tendencje (np. do nieczystych myśli czy onanizmu). Długo myślałem moje estetyczne zafascynowanie architekturą kościelną, muzyką religijną i kolędami (uwielbiałem je śpiewać i w ogóle

uwielbiam śpiewać) za wiarę. Obecnie balansuję na granicy deizmu i agnostycyzmu, i jeśli coś uważam w tych sprawach za pewne, to to, że wobec niemożności dowiedzenia istnienia boga, jak również jego nieistnienia, i chrześcijańskich zależności między tym co czynimy tu na ziemi, i dalszym losem dusz (o ile te istnieją), powinniśmy odcinać się od rozważań, które przerastają nas i skupić się na budowaniu może nie rajów na ziemi, ale nieco bardziej realistycznie – pokojowej koegzystencji religiantów i niewierzących.

Ludzie religijni i sekularyści nieustannie nazywają się nawzajem propagatorami „cywilizacji śmierci”, dlatego, że ci pierwsi żyją w ascezie i gardzą życiem doczesnym, lub przynajmniej chcieliby gardzić (w Konradzie Wallenrodzie mowa o „pogardzie świata” jako o prawdziwej chrześcijańskiej cnocie), a drudzy dopuszczają aborcję i eutanazję, z kolei bardziej troszcząc się o np. przemoc domową. Sam pisałem kiedyś dość ostro, o religijnej cywilizacji śmierci w tekście: „Prawdziwa cywilizacja życia czyli świat areligijny”:

Wraz z końcem religii, lub jej władzy nad społecznościami, ludzie przestaliby wreszcie słyszeć, że wszystko co przyjemne, nawet te zupełnie niewinne przyjemności, jest grzechem (ciekawe, że z wyjątkiem konfucjanizmu – wszystkie religie jak jeden mąż tak właśnie nauczają), a więc zaczęliby żyć pełnią życia. Cała debata publiczna skoncentrowałaby się na tematyce życia, Konfucjusz, stanowiący natchnienie Voltaire'a, zalecał życie „z dala od duchów i bogów”. To właśnie cywilizacja sceptyków jest cywilizacją życia, a cywilizacja ludzi religijnych – cywilizacją śmierci. Widać to już na pierwszy rzut oka. Ludzie religijni snują się z posępnymi minami po ulicach, podczas gdy sceptycy radują się życiem. By nie grzeszyć należałoby właściwie zrezygnować z życia i położyć się w trumnie czekając na przybycie „królestwa niebieskiego”. Największym skandalem jest nie to, że prawiczkowie i starzy kawalerowie (księża) uważają się za autorytety w dziedzinie życia rodzinnego, lecz to, że każda religia opiera się ... na kulcie „pięknej i sprawiedliwej”

śmierci. Może dlatego ludzie tak chętnie umierają za religię, a tak niechętnie postępują zgodnie z jej zasadami. Sama koncepcja czegoś nadnaturalnego odwołuje się zresztą do zniechęcenia do świata i negowania jego praw .

Sekularyści zarzucają wiernym i ich kapłanom, że starają się obrzydzić ludziom postęp, teraźniejszość i przyszłość. Tak pisze o tym polski działacz ateistyczny Jacek Tabisz:

„...Cóż, sądzę, że nadaję się do świętowania Dnia Przyszłości. Snucie różnych domysłów dotyczących tego, co będzie dalej z nami, z naszą planetą, z naszymi wynalazkami i odkryciami, sprawia mi ogromną przyjemność. I o to chyba chodzi. Warto z uśmiechem i optymizmem patrzeć w nadchodzące czasy. One naprawdę na to zasługują! Żyje nam się tysiące razy lepiej niż 100, czy 300 lat temu. Nasze człowieczeństwo jest pełniejsze, mamy więcej możliwości dla jego ekspresji, a będziemy mieć ich jeszcze więcej. Ludzie religijni i parareligijni kraczą, że nowe czasy są zdehumanizowane, że jesteśmy coraz bardziej samotni. Cóż – codziennie mam kontakt z przyjaciółmi z Indii, zaś telefon komórkowy sprawia, iż moja lepsza połowa ma ze mną stały kontakt, którego nie miałyby, gdybym pracował na przykład w XIX wiecznej fabryce 14 godzin dziennie, czy też, gdybym w błotach Saksonii bronił urojeń protestanckich przed urojeniami katolickimi ostatecznie przyczyniając się swoją czaszką do fragmentu ściany w Kaplicy Czaszek, zabawnej budowli ze „starych dobrych czasów”, czyli z doby baroku ...”.

Ascetyzm i rygorizm moralny nie jest jednak zbrodnią, dopóki stosujesz go wobec siebie, choć już np. stosowanie go wobec swoich dzieci nie jest już tak prostą kwestią. Nie można narzucać prawa opartego na obowiązkach dobrego wyznawcy, niewyznawcom, zresztą nawet wyznawcom, religia powinna być proponowana, a nie wmuszana.

Zazwyczaj jednak krytyka religijnych instytucji, zwłaszcza KK

sprowadza się do spektakularnych zbrodni i nadużyć takich jak krucjaty i inkwizycja, podczas, gdy główny problem z tymi organizacjami polega na zawłaszczaniu sfery moralności do tego stopnia, że ich reprezentanci mają często problemy z odróżnieniem zwykłego poczucia ludzkiej przyzwoitości, uniwersalnego, dlatego, że jego niezawodnym miernikiem jest ludzkie zdrowie i przetrwanie, od propagandy swojego kościoła. Główną zbrodnią kościołów było zastraszanie i zamykanie ust tysiącom oponentów, często bardzo przychylnie doń usposobionych idealistów, starających się ulepszyć instytucje religijne, dążenie do zatrzymania postępu naukowego w imię szukania na siłę zgodności między cytatami świętych ksiąg a tym co widziały ludzkie oczy, oraz tworzenia dusznej, nietolerancyjnej atmosfery, w której każda odmienność była zbrodnią, indywidualizm podejrzany, krytyka – śmiertelnym grzechem, a chwilowo dominująca wersja wiary – „normalnością”. Równość wszystkich ludzi wobec prawa, której efektem jest różnorodność społeczna i światopoglądowa, wielu ludzi religijnych uważa za prześladowanie, to tak jakby tłumaczenie komunistom, oczywistości, że nie wszyscy chcą żyć pod systemem komunizmu, było prześladowaniem czerwonych towarzyszy.

Pisząc inną moją pracę: Kraj wolności i kraj niewoli – brytyjska i francuska wizja wolności w XVII i XVIII wieku, pisałem o wolności religijnej, czy kwestiach związanych z uciskiem mniejszości etnicznych czy wyznaniowych jedynie wtedy, gdy były one ściśle powiązane z ogólną wizją wolności politycznej danego myśliciela czy stronnictwa. W tej książce chciałem przyjrzeć się właśnie, na tyle ile pozwala jej objętość, ewolucji wolności religijnej i historii nadużyć organizacji religijnych.

Głównym motywem napisania tej pracy było jednak przypomnienie zasług oświecenia i liberalizmu, oraz konieczności trzymania organizacji religijnych na wodzy, to bowiem wychodzi na dobre także tych, a może nawet przede wszystkim tych, którzy potrzebują wiary by zmagać się z życiem. Odcinając się od politycznych nadużyć swoich kościołów i popierając tolerancję, wierni mają większą szansę na pogodzenie swych poglądów z

obiektywnym humanitaryzmem. Doceńmy świeckość.

.